

Andrzej SZOSTEK MIC

WRAŻLIWOŚĆ I MIŁOSIĘRDZIE FUNDAMENTEM I DROGĄ ŚWIĘTOŚCI

Jednym z najbardziej poruszających fragmentów Pisma Świętego jest zapisana w dwudziestym piątym rozdziale Ewangelii według św. Mateusza scena Sądu Ostatecznego. Pierwsza jej część wzrusza i podnosi na duchu. Zbawieni są zdumieni łaskawością Boskiego Sędziego: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie?” (Mt 25, 37). To tak, jakby chcieli powiedzieć: „Nie zasłużyliśmy na takie wyniesienie, przecież nawet Ciebie nie rozpoznaliśmy”. Druga natomiast odsłona tej sceny napawa wręcz trwożą: „Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom! Bo byłem głodny, a nie daliście mi jeść” (Mt 25, 41-42). Tak surowa kara! Gdyby nałożona była na morderców, sadystów, zbrodniarzy winnych śmierci milionów osób, to jeszcze taki wyrok łatwiej byłoby przyjąć. Ewangelia nie mówi tu jednak o mrozących krew w żyłach występkach. Ogień wieczny zgotowany diabłu i jego aniołom ma być losem tych, którzy po prostu pozostali obojętni na ludzką biedę. Obojętność taka zasługuje oczywiście na nagane, ale czy na aż tak wielką karę? Ludzki sąd byłby z pewnością łaskawszy dla postawionych po lewej stronie tronu sędziowskiego podsądnych. A zauważmy, że Mateusz Ewangelista nie traktuje tej mowy Jezusa jako przypowieści. Scena zaczyna się od słów: „Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale, a z Nim wszyscy aniołowie, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały” (Mt 25, 31). Sceneria Sądu Ostatecznego zapewne może być traktowana nieco metaforycznie, ale przebieg sądu i zapadające na nim wyroki nie pozostawiają wiele miejsca na interpretacyjne dywagacje i próby osłabienia surowości ich wymowy. Jak to pojąć, że Syn Człowieczy, który jadał z celnikami i grzesznikami, który oddał życie na krzyżu, by wykupić od śmierci wiecznej nawet największych grzeszników, będzie tak surowym sędzią?

Podejrzewam, że Sąd Ostateczny ma dwa oblicza. Jedno przedstawia św. Mateusz w przywołanym fragmencie Ewangelii: sędzią jest Syn Człowieczy, podsądnymi ludzie, którzy zakończyli swój ziemski żywot. Ale – niech to nie zabrmi zbyt heretycko – będzie to także, jak sądzę, osąd Boga dokonany przez człowieka. Poprzez całe swe ziemskie pielgrzymowanie człowiek – wprost lub nie całkiem świadomie – kształtuje bowiem swoją wizję Boga. To jeden z tak zwanych nieprzechodnych skutków naszych decyzji i idących w ślad za nimi czynów. Decyzje te i czyny podejmowane są w oparciu o jakieś kryteria wartości i one same kryteria te niejako dopełniają, a niekiedy dość znacznie modyfikują.

Kiedy decyduję się postąpić nieuczciwie, chcąc w ten sposób osiągnąć jakieś korzyści, to trudno mi nie ulec pokusie „naginania” samej idei uczciwości tak, by mój postępek nie wypadł zbyt brzydko. Szukając dla swego postępkowi usprawiedliwienia, próbuję na przykład relatywizować samo pojęcie uczciwości. To znany, dobrze przez psychologów przebadany mechanizm racjonalizacji. To zarazem dość częsta droga do

samozakłamania. Jej efektem bywa szczere, ale zupełnie rozmiijające się z rzeczywistością poczucie własnej niewinności, a nawet świętości, które nie przeszkadza człowiekowi w czynieniu nieprawości. Powiada się czasem, że grzechy, od których człowiek nie odstąpił, mścić się będą niemożliwymi do zatarcia, męczącymi wyrzutami sumienia. Od dawna podejrzewam, że jest to opinia zbyt optymistyczna, wręcz naiwna. Potrafimy się uporać z wyrzutami sumienia – i to tak, że wyrzuty te obrócimy w tytuł do chwały – choć proces ten zwykle trwa jakiś czas. Potrafimy ukształtować w sobie wizję takiego Boga, który będzie naszym nieprawościom (już jednak uznanym za czyny chwalebne) przyklaskiwał i nagradzał nas za nie.

Przypomnijmy sobie inny fragment Mateuszowej Ewangelii: „Nie każdy, kto mówi Mi: «Panie, Panie!», wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto spełnia wolę mojego Ojca, który jest w niebie. Wielu powie Mi w owym dniu: «Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twego imienia, i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twego imienia?» Wtedy oświadczę im: «Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode Mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości»” (Mt 7, 21-23). Te słowa z Kazania na Górze pobrzmiwają taką samą grozą, jaka bije ze sceny Sądu Ostatecznego, ale tu wyraźniej widać, że ów surowy wyrok spotkać może tych, którzy sami uważali siebie za ludzi pobożnych, wiernych Bogu. Najwyraźniej jednak inaczej sobie Boga wyobrażali, spodziewali się pochwał, a usłyszeli: „Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode Mnie”. Czy więc czcili tego Boga, którego w „owym dniu” ujrzeli? Czy do tego Boga całym swym życiem dążyli? A może w momencie ostatecznego spotkania z Bogiem nie tylko Syn Człowieczy powie: „Idźcie precz ode Mnie, przeklećci”, ale i człowiek wyda wyrok: „To nie jest mój Bóg!”. Spotkanie z Bogiem twarzą w twarz będzie z pewnością dla każdego z nas zaskakujące, wszyscy będziemy zdumieni. Jest jednak różnica między zdumieniem zachwytu, a zdumieniem zgorszenia. Jest różnica między doświadczeniem Boga, który przekracza najśmielsze nasze wyobrażenia, najszczytniejsze marzenia, a doświadczeniem radykalnego zawodu, rozczarowania, wręcz buntu. Wcale nie jestem pewien, czy potępiency w piekle tęsknią za królującym w niebie Bogiem. Czy rozwijam tu czcze fantazje? A cóż znaczą słowa św. Jana Ewangelisty o tym, że Chrystus-Słowo przyszedł do swoich, „a swoi Go nie przyjęli” (J 1, 11)? Nikt nie objawił oblicza Ojca pełniej niż Syn Człowieczy, a kapłani, uczeni w Piśmie i faryzeusze – czyli eksperci religijni, specjaliści od spraw Pana Boga – wysłali Go na śmierć krzyżową. Oto jak dramatyczny może być rozdział pomiędzy Bogiem prawdziwym a ludzkim o Bogu wyobrażeniem!

Sąd Ostateczny jest tak wyrazisty i – właśnie – ostateczny, ponieważ nie polega na nałożeniu na człowieka „zewnątrznej” kary za dokonane czyny; taki charakter ma (i mieć musi) sąd ludzki. Sąd Ostateczny to osąd serca. Jeśli nie obchodzi mnie to, że ktoś jest głodny lub chory, jeśli nawet tego nie zauważam, zajęty swoimi sprawami, to znaczy, że moje serce nie ma nic wspólnego z sercem Syna Człowieczego, który dla ratowania człowieka od śmierci wiecznej sam gotów był ponieść śmierć. Ale i na odwrót: jeśli w mojej wizji udanego życia nie ma miejsca na wrażliwość na los innych, nie ma miejsca na współczucie i miłosierdzie, to nie uznaję za swojego Boga, który jest Miłością. Może więc obraz Sądu Ostatecznego nie świadczy o bezlitosnej surowości Syna Człowieczego; może raczej przywołuje on ostateczny sens ludzkiego żywota, ostateczne rozmiary ludzkiej wolności.

Są święci, którzy tę wrażliwość na potrzeby innych przejawiali szczególnie wyraźnie i w przejmujący sposób. Oto bł. Matka Teresa z Kalkuty: Była już zakonnicą, uczyła

geografii i historii w szkole dla dziewcząt w Kalkucie; wraz z innymi siostrami pełniła ważną misję chrześcijańską i kulturową – wykształcenie podnosi człowieka i przygotowuje go do pełniejszego przyjęcia Ewangelii. To była piękna misja. Ale w drodze do szkoły Matka Teresa musiała codziennie przemierzać zatłoczone ulice Kalkuty, tej wielkiej, lecz zanurzonej w strasznej nędzy metropolii. Widziała leżących na ulicach biednych, chorych, samotnie umierających nieszczęśników. Nie mogła znieść ich cierpienia, nie mogła o nich nie myśleć. W końcu poprosiła o zgodę, by się nimi zająć. Oto św. brat Albert Chmielowski: Był malarzem, znakomitym artystą. Żył w czasie, gdy Polskę wymazano z mapy Europy. Mógł rozwijać swój talent, wzbogacając polską kulturę, otwarta była przed nim droga do wielkiej i zasłużonej kariery. Ale mieszkał w Krakowie pełnym nędzarzy, opuszczonych i głodnych. On także nie był w stanie znieść widoku ich cierpienia. Porzucił więc swoje sztalugi, przestał malować, a zajął się tymi, których los nie pozwalał mu spokojnie spać. Podobno odwiedził go kiedyś jeden ze znajomych artystów i zapytał: „Adamie, czy ci nie żal świata, który zostawiłeś? Mógłbyś tyle dzieł stworzyć, swoje obrazy prezentować na wystawach w Paryżu, Wiedniu, Londynie, rozsławiać polską kulturę. Czy ci nie żal?”. Brat Albert miał odpowiedzieć: „Rozdałem dzisiaj dwieście zup. I niech ci to wystarczy za odpowiedź”. Iluż takich właśnie świętych Kościół wynosi na ołtarze!

Drogi świętości są różne. Są święci, którzy jak św. Teresa z Lisieux od młodości wiernie i żarliwie szukali Boga, rozpalając umiłowaniem Chrystusa swoje serce i oddając Mu całe swe życie. Są inni, jak św. Paweł Apostoł czy św. Augustyn, którzy byli daleko od Jezusa Chrystusa, dzięki łasce Bożej przeżyli jednak wielkie nawrócenie i odtąd bez reszty oddali się głoszeniu Ewangelii. Są męczennicy, doktorzy Kościoła, mistycy – jakże liczne i różnorodne porywające przykłady ukazujące potęgę Bożej łaski, ale nie o nich chcę tu mówić. Pragnę raczej zwrócić uwagę na tych, którzy podobnie jak bł. Matka Teresa i św. Brat Albert nie mogli znieść ludzkiej nędzy – i to było początkiem ich dojrzewania w świętości. Nie tylko kanonizowanych świętych mam na myśli. Mahatma Gandhi ani nie będzie kanonizowany w Kościele katolickim (bo nie był katolikiem ani nawet chrześcijaninem), ani zapewne nie otrzyma szczególnego uznania w religii swojego kraju (jak wiadomo, zginął z ręki jednego z współwyznawców hinduizmu). Całe życie poświęcił jednak walce o wyzwolenie pokrzywdzonych, a była to walka bez użycia przemocy – walka nie z człowiekiem, lecz o człowieka i o jego wielkość. Albert Schweitzer też zapewne nie dostąpił chwały ołtarzy, choć porzucił otwierającą się przed nim karierę wielkiego organisty i muzykologa, a także teologa, by leczyć trędowatych. A Janusz Korczak, który nie opuścił dzieci żydowskich posłanych do komory gazowej i poszedł na śmierć, choć mógł jej uniknąć? A Otto Schimek, żołnierz Wehrmachtu, który po prostu nie mógł oddać strzału do więźniów Polaków, wskutek czego sam zginął?

Przywołuję tych bohaterów, ponieważ ukazują oni nieco inny sens samej świętości niż ten, który dominował i bodaj nadal dominuje w kręgach zakonnych. Jak wiadomo, podstawowym zadaniem zakonników jest dążenie do świętości. Zadanie to mają oni realizować w nawiązaniu do szczególnego charyzmatu swoich zakonnych rodzin, zawsze jednak nacisk kładziony jest na walkę z grzechem, pracę nad sobą i doskonalenie cnót. To piękna idea i jestem daleki od jej lekceważenia. Prezentuje ona jednak nieco stoicki ideał „moralnego atletyzmu” – wskazuje na to między innymi nader powszechnie przywoływany w zakonnej ascezie apel o dążenie do doskonałości. Apel ten nawiązuje do rozmowy Chrystusa z bogatym młodzieńcem, któremu Pan Jezus proponuje: „Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj co posiadasz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb

w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną!” (Mt 19, 21). Tak zwane rady ewangeliczne: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, są drogą do osiągnięcia doskonałości wykraczającej ponad elementarny poziom przestrzegania przykazań, drogą prowadzącą do szczególnego zjednoczenia z Chrystusem. Oczywiście zakonny model świętości nie jest jedyny. Św. Franciszek Salezy słusznie – i z mocą – podkreśla, że inna jest droga świętości zakonnika czy biskupa, a inna rzemieślnika bądź oficera. Ale i autorowi *Wprowadzenia do życia pobożnego* chodzi głównie o dobre, rzetelne sprawowanie podjętych funkcji, o dążenie do doskonałości właściwej tym funkcjom i profesjom. Nawet poza kręgiem zakonnym idea osiągnięcia doskonałości, kształtowania w sobie odpowiednich cnót, pozostaje więc aktualna. Nie przypadkiem w procesach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych jedną z ważnych kwestii jest pytanie, czy kandydat na ołtarze odznaczał się heroizmem cnót. Tymczasem przywołane wyżej przykłady świętych, kanonizowanych i niekanonizowanych, wskazują, że ideą przewodnią w ich życiu było nie tyle doskonalenie się, nie tyle walka z grzechem i rozwijanie cnót, może nawet nie tyle pragnienie naśladowania Chrystusa i pójścia za Nim, ile wrażliwość na ludzką nędzę i pełna oddania służba tym, którzy się z tą nędzą borykają. W pewnym sensie punktem wyjścia ich drogi świętości była słabość: nie mogli znieść tego, z czym się zetknęli. Czy nie tak można rozumieć także decyzję św. Maksymiliana Kolbego, który w Auschwitz nie mógł znieść rozpaczliwego jęku Franciszka Gajownicza, ojca rodziny, wyznaczonego na śmierć w bunkrze głodowym?

W tym miejscu trzeba poczynić dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, nędze ludzkie są różne. Nie tylko czyjś głód, choroba lub samotność skłaniają wrażliwych ludzi do miłosiernej reakcji. Św. Jan Bosko przejął się losem zaniedbanych i pozostawionych bez opieki chłopców, Dietrich Bonhoeffer miał odwagę głośno zaprotestować w imieniu ofiar hitlerowskiego nazizmu i rasizmu. Św. Tomasz z Akwinu i inni doktorzy Kościoła starali się przeciwdziałać spustoszeniom, jakie w duszy człowieka powodować mogą błędne poglądy i idące za nimi zgubne działania. I tak jak biedy dotykające człowieka są różne, tak też różne są obszary wrażliwości ludzkiej. Po drugie, dojrzewanie do świętości inspirowane tego rodzaju wrażliwością to proces niekiedy długi i przebiegający różnymi meandrami. Podziw dla bł. Matki Teresy nie pociąga za sobą napiętnowania innych sióstr, które w teje Kalkucie przechodziły obok tych samych umierających nędzarzy. Podobnie przykład św. Brata Alberta nie oznacza dezaprobaty dla innych malarzy, którzy pomimo otaczającej ich nędzy nadal rozwijali swoją artystyczną twórczość. Różne są ludzkie charaktery i różne pola wrażliwości i trzeba te różnice akceptować. Niepokój zaczyna się wówczas, gdy ta wrażliwość po prostu znika na rzecz dbałości o własne dobro, własny rozwój, własne jedynie szczęście.

Jaki ma to związek z chrystocentryzmem znamionującym istotę chrześcijańskiego rozumienia świętości? Tę istotę świętości (a nie doskonałość życia, dostępną tylko nielicznym) podkreślił w jednym ze swoich pięknych przemówień papież Benedykt XVI. Mówił on między innymi: „Świętość, pełnia chrześcijańskiego życia nie polega na dokonywaniu nadzwyczajnych czynów, ale na zjednoczeniu z Chrystusem, na życiu Jego tajemnicami, na przyswajaniu sobie Jego sposobu postępowania, Jego myśli, Jego zachowań. Miarą świętości jest to, jak wiele jest w naszym życiu z Chrystusa, oraz na ile, mocą Ducha Świętego, kształtujemy nasze życie na podobieństwo Jego życia”¹. Dla wierzącego, świadomego chrześcijanina słowa te są jasne i przekonujące. Warto jednak

¹ B e n e d y k t XVI, *Wszyscy święci Papieża* (Przemówienie podczas audyencji generalnej, Watykan, 13 IV 2011), „L'Osservatore Romano” wyd. pol. 32(2011) nr 6, s. 55.

raz jeszcze przywołać ewangeliczny obraz Sądu Ostatecznego i odpowiedź na zdumienie zbawionych („Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie?”), jaką daje Syn Człowieczy: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40). To mocne sformułowanie. Nie mówi On: „to tak, jak gdybyście Mnie uczynili”, ale wprost: „Mnieście uczynili”. I znów – nie ma tu miejsca na interpretację odwołującą się do *licentia poetica*. Chrystus naprawdę – i dosłownie – jest w człowieku potrzebującym pomocy. Trudno wręcz pojąć głębię utożsamienia się Chrystusa z „najmniejszymi”, dosłowność Jego zjednoczenia z nimi. Oczywiście mamy prawo, a nawet obowiązek szukać Chrystusa na wiele sposobów: w modlitwie, w spotkaniach sakramentalnych (zwłaszcza w świętej Eucharystii), w lekturze Pisma Świętego, w wydarzeniach codziennego życia, także w kontaktach z tymi, którzy naszej pomocy nie potrzebują lub którym nie jesteśmy w stanie jej im udzielić. Całe życie chrześcijanina, jak przypomina za św. Pawłem papież Benedykt XVI, będzie tym bardziej święte, im więcej w nim będzie Jezusa Chrystusa. Pragnę tylko przypomnieć, że do uprzywilejowanych momentów spotkania z Nim i oddania się Jemu jako Królowi (bo tak siebie w scenie Sądu Ostatecznego Syn Człowieczy nazywa) należy służba najmniejszym. Początkiem zaś tej służby, wyznaczającym jej szlak, jest wrażliwość na ludzkie biedy, wyjście poza krąg własnych spraw i interesów, zdolność do głębokiego wzruszenia, które – jak to przejmująco ukazuje Pan Jezus w przypowieści o miłosiernym Samarytaninie z Ewangelii według św. Łukasza – przejawia się nie w bezowocnym sentymentalnym uniesieniu, ale w podjęciu konkretnych działań.

„Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielegnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: «Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał»” (Łk 10, 33-35). Tak wygląda głębokie wzruszenie. Niektórzy komentatorzy powiadają, że w postaci miłosiernego Samarytanina widzieć należy samego Jezusa Chrystusa, obrazowe streszczenie Jego misji. I trudno tym komentarzom odmówić słuszności. Przypomnijmy, co Jezus odpowiedział uczniom Jana Chrzciciela pytającym Go, czy to On jest „Tym, który ma przyjść” (Mt 11, 3), czy też należy oczekiwać innego. „Jezus im odpowiedział: «Idźcie i oznajmijcie Janowi to, co słyszycie i na co patrzycie: niewidomi wzrok odzyskują, chromi chodzą, trędowaci zostają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim głosi się Ewangelię»” (Mt 11, 4-5). Ten cały katalog posług wobec najmniejszych traktuje Pan Jezus jako decydujący dowód na to, że On właśnie jest zapowiadany przez proroków „Tym, który ma przyjść” (por. Iz 35, 5-6; 61, 1). Jak mógłby o tym nie pamiętać idący drogą świętości chrześcijanin, który – by raz jeszcze przywołać słowa papieża Benedykta – dąży do zjednoczenia z Chrystusem, starając się przyswoić sobie Jego sposób postępowania, Jego myśli, Jego zachowania!

Bł. Jan Paweł II głęboko tę kluczową dla świętości i prowokującą do miłosierdzia wrażliwość na ludzkie biedy rozumiał, przeżywał i „zadawał” Kościołowi oraz wszystkim ludziom dobrej woli. Już w pierwszej encyklice, rozpoczynającej się od znamienych słów „Redemptor hominis” czyli „Odkupiciel człowieka” (a nie tylko „Redemptor mundi” lub „Redemptor generis humani”, jak się dotąd zwykło tytułować Chrystusa Odkupiciela), Papież rysuje przejmujący wizerunek współczesnego człowieka, konkludując znamienne: „Dla nas, chrześcijan, odpowiedzialność ta [za każdego człowieka – A.S.] staje się szczególnie wyrazista, gdy przypomnimy sobie – a stale trzeba to sobie przypominać – obraz Sądu Ostatecznego wedle słów Chrystusa, które zostały zapisane

w ewangelii św. Mateusza². W teże programowej encyklice Jana Pawła II znajdujemy jego bodaj najczęściej cytowane słowa: „Człowiek jest drogą Kościoła”. Należałoby tu zacytować cały ustęp czternasty tej encykliki, szczególnie pięknie i głęboko ukazujący obraz człowieka; przytoczmy chociaż jedno, kluczowe zdanie: „Człowiek w całej prawdzie swego istnienia i bycia osobowego i zarazem «wspólnotowego», i zarazem «społecznego» – w obrębie własnej rodziny, w obrębie tylu różnych społeczności, środowisk, w obrębie swojego narodu czy ludu (a może jeszcze tylko klanu lub szczepu), w obrębie całej ludzkości – ten człowiek jest pierwszą drogą, po której winien kroczyć Kościół w wypełnianiu swojego posłannictwa, jest pierwszą i podstawową drogą Kościoła, drogą wyznaczoną przez samego Chrystusa, drogą, która nieodmiennie prowadzi przez Tajemnicę Wcielenia i Odkupienia” (podkreślenia Jana Pawła II)³.

Kolejna encyklika papieska mówi wprost o Bożym miłosierdziu. Papież uznał, że właśnie tajemnicę Boga „bogatego w miłosierdzie” trzeba ukazać współczesnemu człowiekowi, często zagubionemu i odartemu z nadziei. Trudno nie dostrzec w tym kontynuacji i konkretyzacji wspomnianej tezy – będącej zarazem apelem – że człowiek jest drogą Kościoła. I znów przytoczmy bodaj krótki fragment: „Jezus czyni miłosierdzie jednym z głównych tematów swojego nauczania. Jak zwykle, i tutaj naucza nade wszystko «przez przypowieści», one bowiem najlepiej unaoczniają istotę rzeczy. Wystarczy przypomnieć przypowieść o synu marnotrawnym czy o miłosiernym Samarytaninie, czy też – dla kontrastu – przypowieść o niemiłosiernym słudze. Jednakże owych miejsc w nauczaniu Chrystusa, które ukazują miłość-miłosierdzie w nowym zawsze aspekcie, jest ogromnie wiele. Wystarczy mieć przed oczyma dobrego pasterza, który szuka zgubionej owcy, czy choćby nawet tę niewiastę, która wymiała całe mieszkanie w poszukiwaniu zagubionej drachmy⁴. Taki jest Bóg objawiony w Jezusie Chrystusie, taką zanurzoną w Bogu siłę i taką nadzieję chce Papież człowiekowi ukazać. Każdemu człowiekowi, nawet największemu grzesznikowi. Potem wielokrotnie do tajemnicy miłosierdzia Jan Paweł II powracał będzie w swoim nauczaniu, w tym duchu spotka się z zamachowcem, który chciał go zabić, a w ostatnich latach swego pontyfikatu ze szczególną mocą wołał będzie o wyobraźnię miłosierdzia.

Czy odeszliśmy od tematu drogi świętości? Ani na krok. Tędy właśnie wiedzie szlak prowadzący człowieka do pełni człowieczeństwa: poprzez zaufanie niezmiernemu Bożemu miłosierdziu i naśladowanie w tym miłosierdziu Ojca niebieskiego, aż po bezinteresowny dar z siebie samego, co – za konstytucją *Gaudium et spes* (por. nr 24) – z upodobaniem przywołuje bł. Jan Paweł II.

*

Czytelnik powyższych rozważań (jeśli się taki znajdzie) pomyśleć może: Nic w nich nowego. Wołanie o wrażliwość i płynące z niej miłosierdzie odnajdujemy już w Starym Testamencie (zwłaszcza w Księdze Izajasza), mówią o niej św. Łukasz i inni Ewangelici, Ojcowie i Doktorzy Kościoła aż po współczesnych teologów i kaznodziejów. To

² Jan Paweł II, Encyklika *Redemptor hominis*, nr 16.

³ Tamże, nr 14.

⁴ Tenże, Encyklika *Dives in misericordia*, nr 3.

prawda. I pewnie do końca świata trzeba będzie o tym pamiętać. Żyjemy jednak dziś – i w kontekście dzisiejszej mentalności oraz kondycji człowieka trzeba przypominać, że tędy wiedzie droga świętości, droga do pełni uszczęśliwiającego nas człowieczeństwa. Tej pełni człowieczeństwa nie osiągnie człowiek w usilnym robieniu kariery, w nieustannej i niszczącej nas wszystkich rywalizacji z konkurentami do władzy, sławy, bogactwa czy popularności. Jeśli w tym wyścigu szczurów zniknie z moich oczu ten, któremu – z własnej lub nie z własnej winy – powinęła się noga, ten, który popadł w nędzę lub inne nieszczęście, to nie mam czego szukać w królestwie niebieskim. Na Sądzie Ostatecznym usłyszę: „Idźcie precz ode Mnie, przekleńci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!”. Jeśli jednak nie będę mógł znieść nieszczęścia, które dotknęło innych, jeśli nie poprzestaną na jałowych i obłudnych wyrazach współczucia, ale nakarmię głodnych i spragnionych, odzieję nagich, odwiedzę chorych i więźniów, to życie moje nie będzie biegło nade wszystko szlakiem osobistej kariery. Może spotka mnie ze strony wielu drwina i lekceważenie, ale będę zanurzony w Jezusie Chrystusie (nawet, jeśli nie będę tego świadom) i usłyszę u końca swoich dni zaskakujące i zachwycające słowa Syna Człowieczego: „Pójdźcie, błogosławieni u Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane dla was od założenia świata!” (Mt 25, 34). Będę święty.